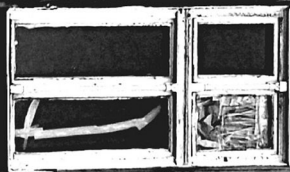


# STRĄŻ NICZY

WOJCIECH  
GIEDRYS



WOJCIECH  
GIEDRYS

STRAŻNICY

© Copyright by Wojciech Giedrys & e-bookowo

**Skład:** Ilona Dobijańska

**ISBN:** 978-83-7859-962-3

**Wydawca:** Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

**Kontakt:** [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I, 2018

# Epilog

– Powiedz mi, że mnie tak bardzo kochasz, jak nigdy nikogo nie kochałeś na całym świecie, jak bonie dydy, jak Matkę Boską Częstochowską, jak matkę i ojca, jak... – mówiła coraz ciszej i ciszej. Jej głos mieszał się z leniwie śpiewającymi ptakami, których trele wydobywały się z gorących trzewi. Siedzieli w słońcu, które buchało na nich żarem i lało potoki ognia.

Złapał ją za biodra i przyciągnął do siebie. Ich rozpalone usta przywarły do siebie. Pocałunek był słony. Wszystko dookoła się kleiło. Znów widział w jej oczach dzikie zwierzę. Czasami siadali naprzeciw siebie. Na kanapie. Po kilkunastu sekundach jej twarz się zlewała. Widział tylko jej oczy. Tygrysie.

Usiedli. Rozpięła sukienkę. Nie miała stanika. Spoconymi dłońmi złapał jej piersi od dołu. Pasowały idealnie do jego dłoni, jakby były dla nich stworzone. Potem powoli palcami zataczał kręgi wokół brodawek. Był coraz bliżej i bliżej, ale ich nie dotykał. Wpił się w jedną z nich ustami i delikatnie zaczął lizać. Zamknęła oczy. Byli tylko oni, jej rosnące brodawki, klejące się do ciała parne powietrze, woda delikatnie uderzająca o brzег, śpiewające ptaki i mnóstw much.

Zrobiło mu się niedobrze. Od kilku dni czuł się tak, jakby cały czas na głowie siedział mu mały Chińczyk. Miał muszki przed oczami.

– Kochanie, co się z tobą dzieje?! – zapytała przerażona.

Patrzył tylko w jeden punkt na Wiśle. Nie mógł od niego oderwać wzroku. Strach sparaliżował jego całe ciało. Nie mógł przełknąć śliny.

Wrzasnęła. Po chwili zwymiotowała. On stanął na równe nogi kilka metrów od brzegu. Między trzciniami na delikatnych falach tańczyła odcięta głowa. Gorące powietrze falowało. Było prawie bezwietrznie. Wszystko to, co ich otaczało w jednym momencie na kilka minut wstrzymało oddech. Denat miał wpółotwarte powieki, pod którymi były już puste oczodoły i mocno rozchylone usta, z których wystawał oleisty i ciemny muł. Sprawiały wrażenie, jakby się uśmiechał. Wokół głowy krążyło mnóstwo much. Choć rozkład był już daleko posunięty, po rysach twarzy było jednak widać, że głowa należała do mężczyzny. Skóra była szara i śliska. W usta miał wetkniętą niewielką foliową torebkę z papierowym zawiniątkiem. List.

# Część pierwsza

# 1.

– Chciałbym zgłosić zaginięcie syna – Karol nerwowo pocierał spocone dłonie. Wiedział, że kiedyś nastąpi ten dzień i skończy na komendzie.

– Proszę poczekać. Zaraz ktoś do pana zejdzie – powiedział dyżurny przez małe okienko. Karol nie mógł ustać w miejscu. Chodził od drzwi do drzwi. Nie mógł się skupić na ani jednym haśle na kolorowych ulotkach prewencyjnych, którymi zawieszona była od góry do dołu tablica korkowa.

Zanim z góry zszedł funkcjonariusz, policjanci wprowadzili do komendy jakiegoś zakapturzonego młodziana zakutego w kajdanki. – Teraz sobie inaczej pogadamy – zawołał jeden z policjantów, szeroko się uśmiechając.

Karol nie mógł się na niczym skupić.

– Dozór – zawołał młody mężczyzna do dyżurnego. Ten od razu otworzył mu przyciskiem drzwi.

Zastukał w okienko dyżurnego. W odpowiedzi nawet nie drgnął i nie spojrzał w jego kierunku. Był wpatrzony w monitor. Otworzył po pięciu minutach.

– Czy pan nie widzi, że my tu pracujemy? Jak powiedziałem, że zaraz ktoś zejdzie, to zaraz ktoś zejdzie. Proszę sobie usiąść tam pod ścianą.

– Ale ja tu kwitnę już pół godziny! Ile można?! – warknął Karol.

– To jeszcze pan pokwitnie! – dyżurny szybko zamknął okienko.

Karol wrócił do chodzenia od drzwi do drzwi. Miał gonitwę myśli. Na żadnej z nich dłużej nie mógł się skupić. Próbował łą-

czyć jakieś fakty, jednakże bez skutku. Cały się trząśł. Nie mógł tego opanować. Tej nocy nie zmrużył oka.

W końcu szedł ścięty na języka policjant po cywilnemu oraz ciemny blondyn w dżinsowej koszuli, która zlewała się z dżinsowymi spodniami. Obaj wyglądali tak, jakby mieli ostrego kaca albo nie spali całą noc.

Policjant zaprosił go do niewielkiego pokoju, gdzie królowały jeszcze meble z lat 80. Każdy z innej parafii. Wszystkie skrzypiące i ostukane.

– To może potrwać godzinę. Jeśli będzie potrzebować pan przerwy, proszę mówić. Tu jest szklanka i woda – blondyn był wyjątkowo uprzejmy. Wyjął z szuflady kilkustronicowy druk zgłoszenia o zaginięciu osoby. Nie spieszył się. Długo szukał długopisu. – Kim pan jest dla zaginionego?

– Ojcem. Proszę, to jego zdjęcie. Chyba sprzed roku. Ale ma mnóstwo zdjęć na Facebooku i Instagramie. Może tam będą jakieś lepsze.

Starszy aspirant Tomasz Lango wiedział dokładnie, o kogo chodzi.

– Dojdziemy do tego. – Wpisał datę i godzinę zgłoszenia, postawił pieczętkę komisariatu na Rubinkowie i zaczął zadawać Karolowi mnóstwo pytań. Ten odpowiadał powoli, zastanawiając się nad każdym słowem.

– Urbański, Mikołaj, Karol, 80010505195, kawaler, Toruń, ul. Szeroka 44 na 5. Jest tam zameldowany na stałe od 2010 r. Nie ma drugiego imienia. Matka – Teresa. Karol. 5 stycznia 1980 roku w Toruniu. Wykształcenie wyższe. Skończył polonistykę. Dziennikarz. Od 2002 r. pracuje w „Gazecie Toruńskiej”. Nie choruje. Nie bierze leków. Czasami przeciwbólowe. Nałogi? A to konieczne? Pali papierosy. Dużo. Pije rzadko. Nie wymaga żadnej pomocy. Ok. 190 cm, 90 kilogramów, szczupła, brunet, piwne, podłużna, przylegające do głowy, mięsisty, pełne. Znaki



szczególne? Chodzi też o tatuaże? Ma jeden na klatce piersiowej, nad prawą brodawką, jakiś czarny napis, ale nigdy mi go nie pokazał. Ubiera się jak nastolatkwie, raczej luźne ubrania, bluzy dresowe, kolorowe trampki, czerwone spodnie, czasami podarte džinsy, ma turkusową kurtkę puchową i kolorową czapkę akrylową z pomponem, mnóstwo jakiś opasek na prawej dłoni i smartwatcha. Nie mam pojęcia, jak mógł być ubrany w dniu zaginięcia.

– Może zrobimy przerwę i napije się pan wody?

– Nie. Chcę mieć to za sobą. Dłużej tu nie wytrzymam. To marnowanie... – Uspokoił się nieco. – Proszę nalać. Nic nie miałem od wczoraj w ustach.

– Kiedy ostatni raz pan go widział? Kiedy rozmawialiście?

– Widzieliśmy się tuż przed świętami. Przyniósł mi prezent. Nie mógł się doczekać wyjazdu do Czech. Mówił coś chyba, że jest wypompowany pracą i od wakacji nie miał ani dnia wolnego. Potem z życzeniami dzwonił w sylwestra. O 20 już był pijany. I ostatni telefon w święto Trzech Króli. Tuż przed wyjściem z domu na pociąg. Sam nigdy nie jeździł samochodem tak daleko. Zawsze meldował się po przyjeździe. Próbowalem się dodzwonić w niedzielę. Ale miał wyłączony telefon lub był poza zasięgiem. Nie pamiętam już. Trochę się zdenerwowałem. Ale różnie to bywa z telefonami za granicą. Uspokoilem się, kiedy wrzucił jakiś wpis na Facebooka w poniedziałek. Ale w środę zadzwonił do mnie jego przyjaciel i powiedział, że jest coś nie tak. Że jakiś znajomy do niego napisał na Messengerze i wysłał zdjęcie forda. Trudno go pomylić: ma belki na dachu, przyciemniane szyby z tyłu, a za szybą włożone logo *Gazety Toruńskiej*. Ford nie stał tak jak zawsze – Mikołaj mało nim jeździł w tygodniu – na parking podziemnym na pl. św. Katarzyny. Był zaparkowany przy dworcu głównym. Nie wiem, jakim cudem. To niedorzeczne. Chłopak jedzie na tydzień za granicę, cofa się na parking podziemny, żeby

dwa przystanki podjechać na dworzec i zostawić samochód pod dworcem. To się kupy nie trzyma. To nie w jego stylu. Mikołaj jest bardzo oszczędny. Ma to po mnie. Liczy każdą złotówkę.

– Może był spóźniony? Może się spieszył na pociąg? Miał duży bagaż?

– Zwykle brał ze sobą duży plecak. Zarzucał go i jechał. Miał kilka ulubionych kwater w Czechach. Ciągnęło go tam. Tam jest jakoś inaczej. Czas płynie też inaczej. Nie powiem, że jest lepiej. On w Czechach najlepiej odpoczywał. Zaraziłem go tym. A pojechał sam, bo jak tłumaczył, chce się od wszystkiego odciąć i zresetować. Czasami tak miał. Potrzebował ciszy. Zamykał się w pokoju na cały dzień, a potem wychodził uśmiechnięty.

– Czy jest samotny? Ma kogoś? Jest z kimś związany?

– Miał kogoś bardzo długo, ale... – Karol zawiesił głos. Nie wiedział, jak ubrać to w słowa. Zawsze miał problem, gdy ktoś go o to pytał. – Mikołaj jest homoseksualistą. Tylko proszę, żeby to się nie wydostało poza komisariat. On nigdy się do tego publicznie nie przyznał. To by mogło mu zniszczyć życie. Dobrze? Miał przez wiele lat przyjaciela. Grzegorza. Porządny chłopak. Ale od roku już nie mieszkają razem. Byli sobą zmęczeni – tak tłumaczył to Mikołaj. Dali sobie kilka miesięcy czasu, żeby odpocząć, ale razem podjęli decyzję, że to nie ma sensu. Ale się przyjaźnią. To właśnie Grzegorz poinformował mnie o tym samochodzie przed dworcem.

Karol podyktował blondynowi: Bączkiewicz, Konopnickiej 31. Podał też numer telefonu. – Jest cały czas pod telefonem. To on mnie wysłał do pana. Ja nie miałem siły. Byłem zbyt rozbity. Grzegorz wszystkim się zajął. Zbiera znajomych, żeby przeszukać okolice dworca i Kępę Bazarową. Nie chce czekać na policję. Już mają gotowe plakaty, tylko czekają, aż dam sygnał.

– Próbował pan jeszcze dzwonić do syna? Był pan w jego mieszkaniu?

– Dzwoniłem. Telefon cały czas milczy. Nie mam klucza do mieszkania. Nikt nie ma. Grzegorzowi od razu go zabrał. Czego miałbym tam szukać?

– Wróćmy jeszcze do formularza. Jeszcze sporo zostało...

– Nie pamiętam grupy krwi. Nigdy nie robił takich numerów. Przecież powiedziałem na wstępie, że pierwszy raz coś takiego się zdarzyło. Nie znam przyczyny. Źle mu nie było. Zawsze chciał być dziennikarzem. Na pewno pan go zna. Tyle głośnych spraw opisał, że każdy go w tym mieście zna. Tyle razy mu mówiłem, że pakuje się w kłopoty. Ale on mnie nie słuchał. Drażył tematy. Wsadził parę osób do więzienia. Niektórzy potracili stolki. Zniszczył życie paru osobom, ale to w większości były jakieś tępe gnidy. Należało im się. Może teraz chcą się zemścić. Ja nie wiem, nad czym teraz pracował. Niech pan zapyta w jego redakcji. Ale on zawsze chodził swoimi drogami i często przynosił gotowe artykuły. Wolał pisać w domu.

– Czy miał jakieś próby samobójcze? Muszę o to zapytać.

– Kiedy poinformował nas, że jest homoseksualistą. Miał wtedy 15 lat. Nie wiem dlaczego, ale zrobił to podczas niedzielnego obiadu. Sam go ugotował. Nie wiedzieliśmy z początku, co się dzieje. Nigdy się tak nie zachowywał. Chciał, żeby było odświętnie. Żona coś tam podejrzewała – jak to matka – ale mnie totalnie замуrowało. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Czekał na moją reakcję. Zapytałem go w końcu, czy to jest jakiś jego kolejny głupi żart. Trzasnął drzwiami i krzyknął, że sobie podetnie żyły. Żona od razu za nim pobiegła. Pokrzyczał sobie i na tym się skończyło. Nigdy do tematu nie wróciliśmy. Dopiero po śmierci żony. Od dziecka był wrażliwy. Śmierć mojej żony i dziennikarstwo go zmieniły. Ale zawsze tak miał – ze skrajności w skrajność. Szybko się zapalał i szybko gasł.

– To już wszystko. Jeszcze proszę o podpis. Proszę być pod telefonem. Za kilka godzin ktoś do pana zadzwoni – starszy

aspirant mówił jak z kartki.

– Jak to wszystko? Ja myślałem, że my od razu pojedziemy do niego do mieszkania. Że zabiorę się z wami... – Karol był wyraźnie pobudzony.

– Dobrze. Proszę poczekać przy wyjściu. Zobaczę, co da się zrobić.

## 2.

Pół godziny później radiowóz wyruszył w kierunku Starówki. Karol siedział na tylnym siedzeniu. Ostatni raz jechał radiowozem w latach 80., kiedy milicjanci zgarnęli go razem z kolegami z manifestacji pod pomnikiem Mikołaja Kopernika. Warunek był jeden: miał niczego nie komentować i słuchać się poleceń funkcjonariuszy. Drugim autem jechali kryminalni, którzy mieli wziąć po drodze ślusarza. Podjechali pod wejście. Przez Szeroką, mimo mrozu, przetaczały się tłumy pieszych. Strumień ludzi rozlewał się na całej długości deptaka, a później w dość niejasnych okolicznościach zanikał i rozmywał się przy Wielkich Garbarach.

Karolowi serce uderzało w rytm ciężkich kroków na drewnianych schodach. Ślusarz już doskonale wiedział, którędy ma się dostać do mieszkania Mikołaja. Gdyby nie Karol, musiałby się nieźle napocić przy antywłamaniowych drzwiach, za które Mikołaj dał kilka tysięcy złotych. Do mieszkania można było się dostać tylnymi drzwiami. Mało kto wiedział, ale w kamienicy była druga, niewielka klatka schodowa od strony oficyny. Można się było dostać na nią od podwórza lub przechodząc przez strych. Wybrali strych, gdzie akurat schło pranie sąsiadki Mikołaja z naprzeciwka.

Ślusarz szybko uporał się z dwoma zamkami. Dwaj policjanci, którzy weszli jako pierwsi, poczuli uderzenie gorąca. W środku było prawie jak w saunie. Odkręcone na maksa wszystkie kaloryfery. Mikołaja nigdzie nie było. Szukali wszędzie. W szafach, pod łózkami. Zero śladu. Mieszkanie wyglądało jak z ka-

talogu. Stylowo urządzone. Nowoczesne. Na ścianach wisiały wielkie obrazy z nachlapaną, kolorową farbą. Mnóstwo przestrzeni. Niewiele mebli. Absolutny porządek. Wszystko było niemal pod linijkę. Mikołaj był pedantem. To również miał po matce. Codziennie sprzątał inną część mieszkania. Na stoliku pośrodku salonu leżał telefon. Mikołaj bez niego nigdzie się nie ruszał. – O mój Boże – westchnął Karol.

Nagle zrobiło się wielkie zamieszanie. Policjanci usłyszeli jakiś hałas w przedpokoju. Ktoś mocował się z zamkiem. Wszyscy tam ruszyli. Karol trzymał się z tyłu. Policjanci trzymali ręce na pistoletach.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich niska kobieta po pięćdziesiątce. Aż podskoczyła na widok policjantów. – O Jezu! Co się stało?! – wydarła się. Od razu było słychać, że to Ukrainka. – Ja tu tylko sprzątam co tydzień.

Policjanci w mundurach od razu zaczęli przesłuchiwać sprzątaczkę, a Karol chodził po mieszkaniu krok w krok za kryminalnymi. Milczeli. Szukali jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Jakiejś rysy. Jakiegoś tropu.

– Czy coś zniknęło z mieszkania? – starszy aspirant zapytał Karola.

– Nie wiem, rzadko tu bywałem – odpowiedział Karol, rozglądając się dokoła. – W poprzednim mieszkaniu Mikołaj miał mnóstwo papierów. Segregatorów. Książek. Gromadził wiele materiałów. Tego mi tu brakuje.

– Mówię ci, w Toruniu to zawsze ich ciągnie coś do Wisły. Tracą głowę nad rzeką – mruknął starszy aspirant, kiedy Karol wyszedł na chwilę do łazienki. – Jedziemy na dworzec. A ci niech się wezmą za sąsiadów. Na rano załatw nurków.